



MISJE BREMERA

Zamach w Syrii był tylko
początkiem operacji, która od lat
dojrzała w sercu Europy

ARENA ZDRAD

ARKADY SAULSKI

BUKOWY LAS

Prolog

Są inne sposoby na osiągnięcie zwycięstwa niż tylko
poprzez otwarty konflikt.

SEAN MCFATE

Religijni fanatycy to doprawdy uroczy ludzie, a nowy prezydent Syrii był tego doskonałym przykładem.

Czarował każdym gestem, słowem, spojrzeniem. Ten były bojownik Al-Ka'idy, doświadczony w walkach z wojskami koalicji w Iraku, a potem podczas wojny domowej w swojej ojczyście Syrii, zrzucił kamizelkę taktyczną tak jak wąż zrzuca skórę. Przywdziewając garnitur, stał się w oczach przepytujących go dziennikarzy odpowiedzialnym, wyważonym i zręcznym politykiem, który wyprowadził swój kraj z mroków dyktatury, w nową, świetlaną erę. Przedstawiciele mediów zgromadzeni w Pałacu Ludu w Damaszku otrzymali niemal nieograniczony czas na przeprowadzenie wywiadów. Znaleźli się wśród nich Amerykanie, Francuzi, Brytyjczycy, Niemcy, dziennikarze z Japonii, Chin, ale też niektórych krajów Afryki. Jeden przedstawiciel mediów z Polski. Wielkimi nieobecnymi byli zaś, a jakże, dziennikarze z Izraela.

Wielka szkoda, bo prezydent z pewnością oczarowałby także i ich.

Wojciech Bremer wraz z resztą obstawy stał na uboczu. W każdej innej sytuacji byłaby to najnudniejsza część misji – jako jeden z członków ochrony dziennikarzy z Niemiec, Francji i Polski w samym pałacu nie miał nic do roboty. Tu bowiem prezydenta i jego gości strzegła osobista gwardia głowy państwa, złożona z najtwardszych bojowników, weteranów trwającego ponad dekadę

konfliktu. Na Bremera i pozostałych najemników spoglądano nieufnie, ale bez wyczuwalnego napięcia.

Dowodził zespołem złożonym z ośmiu ludzi – wszyscy byli pracownikami europejskiej prywatnej organizacji militarnej Imperatoria Corporum. „Pracownik” to piękne, eufemistyczne określenie, Bremer wołał samego siebie określać zgodnie z prawdą. Był najemnikiem, po prostu.

Sama Imperatoria Corporum czy, jak określano ją krócej, ImperCor, była jedną z najważniejszych, choć zarazem najmniej znanych tego typu firm. Każdy wiedział, czym jest rosyjska Grupa Wagnera, amerykańska Blackwater czy brytyjska Executive Outcomes, ale ImperCor nadal pozostawała w cieniu. Wywodziła się z Europy i – choć stosunkowo młoda – już mogła pochwalić się dużymi sukcesami. Zwracano się do niej, gdy oczekiwano dyskrecji i gwarancji sukcesu.

I bardzo dobrze. Bremer cenił sobie dyskrecję.

Dyskrecję, najwyraźniej, ceniło też szefostwo „Politico”, to ono bowiem zleciło tej konkretnej firmie ochronę swojej delegacji. Czwórka dziennikarzy: dwie Francuzki, jedna Niemka i jeden Polak. Żurnaliści mieli przeprowadzić wywiad z prezydentem Syrii, po czym zostać odwiezieni na wojskowe lotnisko Mezzeh, skąd startował wycarterowany dla nich samolot. Jednak w Syrii, mimo formalnego zakończenia konfliktu i przejęcia władzy przez bojowników, nadal było niespokojnie. Lojaliści zbiegłego do Rosji Baszara Al-Asada atakowali siły nowego prezydenta, i to nawet na przedmieściach Damaszku. Problem stanowili też Rosjanie, których, mimo ogromnej nienawiści, wciąż nie wyrzucono z kraju, traktując ich obecność jako kartę przetargową w rozmowach nowych władz z Kremlen.

O tak – nowy prezydent był nie tylko uroczy i elokwentny, ale też cholernie sprytny.

Bremer, widząc, jak czaruje dziennikarzy, nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Ten gość, jeszcze wczoraj ukrywający się na pustyni, dziś jawił się jako dojrzały, rozsądny, otwarty na nowe idee polityk iście światowego formatu.

Opinia publiczna w Stanach i Europie będzie zachwycona.

Najemnik rozejrzał się po sali, zastanawiając się, co czuje gwardia prezydenta, widząc jego ludzi, jak również ochroniarzy pozostałych delegacji, pod bronią i w pełnym oporządzeniu tak blisko głowy państwa. Było oczywiste, że żaden z ludzi ImperCor, ani właściwie jakiegokolwiek innej ekipy obecnej w sali, nie czyha na życie prezydenta, ale i tak – chłopcy musieli być nieco spięci.

Bremer uśmiechał się do nich bezczelnie, ściskając wiązający na uprząży karabin – króciutki SIG Sauer MCX Rattler SBR, w kalibrze .300 Blackout. W kaburze, jako broń boczną, także miał konstrukcję Siga, konkretnie pistolet P320. Cóż począć, że darzył słabością amerykańskie produkty?

Wywiad, najwyraźniej, dochodził już do wniosków końcowych. Prezydent na pożegnanie rzucił kilka żartów, prosząc, by pozdrowić szefostwa redakcji i przekazać najszczerze życzenia powodzenia dla narodów, których reprezentowali dziennikarze.

Gdy wyłączono mikrofony, jeden z Brytyjczyków zauważył, że ostatni raz mieli styczność z prezydentem w 2006 roku w Iraku. Dziennikarz, jak się okazało, był tam urzędnikiem sił okupacyjnych, a prezydent – bojownikiem Al-Zarqawiego.

– Świat ciągle się zmienia, redaktorze – odparł bezbłędą angielszczyzną Syryjczyk. – A wczorajsi wrogowie mogą być dziś przyjaciółmi, czyż nie?

Wywołało to uśmiechy wśród zgromadzonych. Bremer także się uśmiechnął, ale chyba z innej przyczyny.

– Dziesięć minut – rzucił dyskretnie do mikrofonu, uprzedzając ekipę na zewnątrz, jak również ludzi w sztabie, mających obserwować przejazd kolumny z dziennikarzami przy pomocy drona.

– Przyjąłem – odparł Said, też najemnik, ale pozyskany lokalnie Syryjczyk.

Ten dawny bojownik był muzułmaninem, reprezentował jednak raczej liberalny nurt tej religii i przez to z czasem odpadł od coraz bardziej pogrążającej się w fanatyzmie organizacji. Doświadczony, znający region żołnierz został szybko namierzony przez ImperCor i zatrudniony. Teraz on i jego ekipa stanowili tak zwany QRF, czyli *quick reaction force* – oddział mający wejść do akcji, gdyby po drodze coś poszło nie tak.

Bremer miał nadzieję, że Said i jego zespół tym razem będą nudzić się w swoich pick-upach.

Dziennikarze stopniowo opuszczali salę. Do wyjścia szykowali się też ci pod opieką Bremera. Najstarszy z tej delegacji był właśnie Polak – Radosław „Radek” Paleczny. Prawdziwy nestor tego fachu i zarazem jedna z jego legend. W latach osiemdziesiątych XX wieku wyrzucony z komunistycznej Polski, dzięki wsparciu Radia Wolna Europa podjął naukę uzupełniającą na Oksfordzie, a potem został korespondentem wojennym. I to nie było jakim! Na pierwszy materiał pojechał do Afganistanu, wtedy atakowanego przez ZSRR, gdzie szybko zrzucił kamizelkę z napisem „Press”, by dołączyć do

mudżahedinów. Spędził z nimi rok, biegając po górach, opisując walkę Afgańczyków i zbrodnie na nich popełniane. Zachowały się zdjęcia uśmiechniętego mężczyzny, który chwycił za broń, gdy zachodziła taka potrzeba.

Potem były inne konflikty: Czeczenia, dawna Jugosławia, Afganistan, Irak, Gruzja, Ukraina. I teraz – Syria.

Z kimś takim Bremer napiłby się wódki – sęk w tym, że Bremer nie pił. Coca-Cola musiała wystarczyć.

– Gotowi? – zapytał po angielsku dziennikarzy, gdy ci podchodzili ze spakowanym sprzętem.

– Możemy jechać, tak – odparła niemiecka redaktorka.

Bremer skinął głową, gestem dłoni wskazał drogę, zamykając pochód.

– Wychodzimy – rzucił do mikrofonu.

– Przyjąłem.

O ile w kolosalnym Pałacu Ludu panował przyjemny chłód, o tyle na zewnątrz, gdy wyszli na syryjskie słońce, ledwo dało się wytrzymać. Sprawie nie pomagał fakt, że do samego kompleksu budowli prowadziła szeroka niczym pas startowy asfaltowa droga. Cień dawały nieliczne palmy.

Na szczęście zarówno Bremer, jak i dziennikarze byli ubrani lekko, ale najemnik i tak pocił się niemiłosiernie w swej kamizelce taktycznej, obciążonej dla dodatkowej ochrony płytami balistycznymi, z przodu i z tyłu. Podobne kamizelki nakładały teraz redaktorki. Paleczny, demonstracyjny, na takie środki ostrożności się nie zgodził.

– Nigdy nie nosiłem i nie będę nosił – uciał, gdy Bremer próbował z nim negocjować. Facet był uparty jak osioł.

Cóż, jego decyzja, ale najemnik nie sypiał przez to ani trochę lepiej.

Wreszcie po kilku chwilach oczekiwania na podjazd przed pałacem zajechał ich transport: trzy Toyoty Land

Cruiser. Celowo wyglądały na starsze, niż były. Opancerzone, miały zwiększyć ich szansę wyrwania się z ewentualnej zasadzki.

Gdyby taką udało się komukolwiek przeprowadzić.

Drogę z Pałacu Ludu aż do lotniska wcześniej sprawdzono, w poszukiwaniu improwizowanych ładunków wybuchowych IED, jak również celem rozpoznania ewentualnych kryjówek napastników. Teraz była bacznie obserwowana przez kursującego tam i z powrotem drona.

ImperCor nie miało zamiaru niczego zlekceważyć.

Wsiedli do klimatyzowanych wnętrz – Francuzki do ostatniej Toyoty, Bremer wraz z Palecznym i niemiecką dziennikarką – do środkowej. W tej jadącej z przodu znaleźli się wyłącznie ludzie ImperCor.

– Jedyńska gotowa – zameldował kierowca pierwszego Land Cruisera.

– Dwójka gotowa – odparł do mikrofonu dowodzący drugim pojazdem Bremer.

– Trójka gotowa – odezwał się kierowca ostatniego wozu.

– W porządku, ruszamy – wydał komendę najemnik.

Wozy zerwały się z miejsca i pomknęły szeroką aleją.

Teoretycznie droga z pałacu do lotniska wojskowego w Mezzeh powinna im zająć dwanaście minut... ale to była Syria. Sporo mogło się wydarzyć po drodze.

Opuścili teren pałacu, mając teraz po prawej żółtą pustynię, gdzieśgdy upstrzoną rachityczną roślinnością, po lewej zaś – zabudowania Damaszku. Jednego z największych i zarazem najstarszych miast Bliskiego Wschodu. Ruch na samej drodze był niewielki. Raz na jakiś czas mijali pojedynczy samochód bądź ciężarówkę.

Bremer siedział z przodu, obok kierowcy, a dziennikarze z tyłu. Niemka, tuż za nim, sprawdzała coś na

telefonie. Siedzący za kierownicą Paleczny podziwiał panoramę miasta.

– Trudno uwierzyć, że to miejsce wciąż nie może zaznać spokoju – powiedział wreszcie. Po polsku.

Najemnik obrócił się, ale nic nie odpowiedział.

– Wiem, że jest pan Polakiem, proszę nie udawać – dodał z lekkim uśmiechem reporter.

– Czy imię Wojciech aż tak mnie zdradziło? – odparł wreszcie mężczyzna, odwzajemniając uśmiech.

– Uznajmy, że to zasługa dziennikarskiej przenikliwości. Zaśmiali się.

Paleczny nie wyglądał na swoje lata – dobrze zbudowany, choć siwy, miał oblicze człowieka, który widział wszystko. Bo tak zapewne było. Zachowywał się z non-szalancją kogoś, na kim nic już nigdy nie zrobi wrażenia. A jednak gdy z kimś rozmawiał, to robił to tak, by druga osoba miała poczucie, że poświęca jej pełnię uwagi. Nie wywyższa się, wręcz przeciwnie – zamienia się w słuch. Ten weteran miał w sobie ogromną pokorę.

Bremer cenił to w ludziach.

– Długo pan to robi? – zapytał dziennikarz.

– „To”, czyli...?

– Pracuje dla PMC? Jest... najemnikiem.

PMC – skrót od Private Military Company. Ładniejsza nazwa prywatnych armii, których na świecie było coraz więcej.

– Jakieś pięć lat – odparł mężczyzna.

– A wcześniej? GROM?

– Formoza.

– O proszę... Pomorzanin?

Bremer potwierdził skinieniem głowy.

– Gdyński śledź.

– Kiedy ostatni raz był pan w kraju?

– Sześć, może siedem lat temu? Moja mama wciąż mieszka tam, gdzie się wychowałem. Wysyłam jej pieśniadze. Niech kobieta chociaż na stare lata pożyje jak człowiek.

– Rozumiem... i szanuję to.

– Czy nie powinniśmy...? – Bremer skinął na wciąż sprawdzającą telefon Niemkę. – Gadanie po polsku chyba jest nieuprzejme...?

– Ja wszystko rozumiem – odezwała się niespodziewanie właśnie w języku polskim kobieta. – Rozmawiajcie, jak chcecie.

Mężczyźni się zaśmiali.

– Said, jak sytuacja?

– Na razie czysto. Za kilometr przyspieszcie, będzie tam gaj oliwny, mało widać.

– Przyjąłem. Jedyńka, trójka, gazu!

Konwój zwiększył prędkość. Faktycznie – przed nimi na horyzoncie po prawej stronie od drogi zamajaczyło zbocze obrosnięte karłowatymi drzewkami oliwnymi, stojącymi jedno obok drugiego, niczym żołnierze w szeregu. Strzelcy szykujący się do zasadzki. Droga po lewej także była zarośnięta i cień drzew mocno ograniczał widoczność. Przełączenie kamer drona na termowizję niewiele by dało, o tej porze dnia piasek był tak rozgrzany, że maszyna widziałaby na dole jeden wielki kobierzec bieli.

– Mogę jeszcze o coś zapytać? – odezwał się znowu Paleczny.

– Śmiało.

– Dlaczego pan robi to, co robi?

Bremer odwrócił się do niego, zaskoczony.

– A pan czemu robi to, co robi? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Dziennikarz prychnął.

– Bo nie umiem robić niczego innego – rzekł z uśmiechem.

Najemnik odwzajemnił uśmiech.

– No i sam pan widzi.

Znowu spojrzął przez przednią szybę. Znajdowali się już bardzo blisko gaju oliwnego – ten wyglądał jak antyczny amfiteatr, w którym drzewka były widzami, a skręcająca ulica – sceną.

– Said? – rzucił do mikrofonu najemnik. Żadna odpowiedź nie nadeszła.

– *Scheiße!* – syknęła Niemka. – Nie mam intehnetu! Cholehny pech!

Najemnik odwrócił się do niej, po czym spojrzął na drogę. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Spróbował znów wywołać Saidą – bez skutku.

Gaj był już bardzo blisko.

– Gazu, gazu, wszyscy, gazu!!! – ryknął.

Ich kierowca ostro przyspieszył, ale najwyraźniej łączność została zerwana. Toyota za nimi, widząc, co robi dwójka, też zwiększyła prędkość, ale jedyńska wciąż jechała swoim tempem. Szybko... ale nie dość szybko, by wymknąć się z zasadzki.

Bremer zdążył zauważyć mknącą ku jedynce szarą smugę.

Opancerzenie Land Cruisera pozwalało przyjąć ogień do kalibru 7.62 milimetra czy odłamki granatu ręcznego, ale bezpośrednie trafienie pocisku wystrzelonego z granatnika RPG to było po prostu za wiele. Toyota, w której siedział Bremer, skręciła gwałtownie, gdy wóz przed

nimi rozerwała eksplozja. Na asfalt posypały się kawałki pancerza i karoserii, szkło przysło świecącymi drobinami. Opony pękły, wprawiając zniszczony wóz w wiraż, a w jego wnętrzu szalały płomienie.

Nikt nie miał szansy tego przeżyć.

Kierowca prowadzący ich Land Cruisera skręcił ostro, próbując uniknąć kolizji z płonącymi resztkami jedynki, wpadł na sąsiednie pasy ruchu, jadąc pod prąd.

Naprzeciwko nich, jak spod ziemi, wyrósł brudny, cywilny sedan. Jego kierowca musiał być w kompletnym szoku, nie zdołał wykonać manewru wymijającego.

Oni też nie.

Stary samochód nie był dla Toyoty poważną przeszkodą – Land Cruiser po prostu zepchnął go z drogi, jednak sam też oberwał. Kierowca stracił panowanie nad pojazdem, wóz przechylił się na lewy bok.

– Trzymajcie się! – zdążył zawołać Bremer.

Świat zaczął wirować, wypełniając się ogłuszającym hałasem obijającej się o asfalt pancernej karoserii. Za oknami migał oszalały kalejdoskop kolorów: czerni asfaltu, żółci piachu, błękit czystego, pięknego syryjskiego nieba. Toyota turlała się po drodze.

Nie miał pojęcia, jak długo to trwało. Przez hałas przebił się huk kolejnej eksplozji, ale Bremer nie miał pojęcia, czy to nieprzyjaciel trafił trójkę, czy wybuchło coś innego. Mógł tylko trzymać się, robiąc wszystko, by jego błędnik nie oszalał i by nie skręcić sobie karku w młynku, w jaki zamieniło się wnętrze Toyoty.

W końcu wóz zaczął zwalniać, by ostatecznie osiąść ponownie na kołach.

„Niezły fart!”, pomyślał mężczyzna. Klepnął kierowcę.

– Jedź! Jedź!

Dopiero wtedy dostrzegł, że ten był nieprzytomny.

Musiał trzasnąć głową o kierownicę, bo teraz siedział pochylony, utrzymywany tylko przez pasy, a z jego twarzy ściekała krew. Bremerowi także kręciło się w głowie, ale zdołał się opanować. Jeśli był ranny, to jeszcze tego nie czuł – adrenalina robiła swoje.

Odwrócił się do pasażerów.

Niemka pólleżała w nienaturalnej pozycji, z głową obróconą jakby do góry i w bok. Jej usta były rozwarłe w niemym krzyku. Skręcony kark. Nie żyła. Paleczny jednak oddychał, wydawał się nawet przytomny, choć ostro krwawił z rozciętej brwi.

Wtedy o ich wóz uderzyły pierwsze kule.

Pociski skrzesały iskry na pancерnej karoserii, poryły szyby, znacząc je pajęczynkami pęknięć. Okna mogły wytrzymać ostrzał, ale tylko przez jakiś czas – prędzej czy później w końcu kule zaczną przechodzić, a wtedy...

Bremer chciał złapać za karabin – nie miał go! Sig musiał się zerwać z uprzęży, upaść gdzieś, nie wiadomo gdzie, gdy samochód koziołkował. Trudno – dobył pistoletu.

– Spokojnie, panie Paleczny, tylko spokojnie – rzekł do ocalałego pasażera.

– Jestem spokojny, synu. Rób swoje! – odparł na to dziennikarz.

Najemnik jeszcze nigdy nie widział, by ktokolwiek potrafił zachowywać taką zimną krew.

Stary korespondent wojenny miał rację – Bremer musiał zrobić swoje.

Walili do nich z prawej strony, ale nie miał pewności, czy to ta sama strona, gdzie znajdował się oliwny gaj. Podczas kolizji mogło ich obrócić o sto osiemdziesiąt

stopni. Nie miało to znaczenia – musieli się wyrwać z zasadzki, nawet jeśli oznaczało to powrót do Pałacu Ludu.

Pociski trzaskały teraz o wóz bez przerw, ogień ciągle prowadzono z broni zasilanej z taśmy albo dużych magazynków, Bremer obstawiał rosyjskie RPK albo PKM.

Jedna i druga opcja oznaczały, że to nie będzie dobry dzień.

– Nic osobistego, stary – odpiął kierowcę i już miał otworzyć drzwi od jego strony, by wyrzucić go z wozu i zająć jego miejsce, kiedy i tam uderzyły kule.

Pierwszy plan wziął w łeb. Drugi, trzeci i jakikolwiek kolejny – też.

Z tyłu, od strony Palecznego dało się słyszeć głośniejszy huk, po czym drzwi się otworzyły. Dopiero wtedy Bremer usłyszał komendy po arabsku. Ludzki kształt z karabinem pojawił się w świetle otwartych drzwi, wrzeszczał coś do Palecznego. Ten cofnął się na kanapie, niemal przytulając do zwłok koleżanki.

Bremer wystrzelił z pistoletu tylko raz. Wystarczyło. Pocisk kalibru 9 milimetrów V-Crown wpadł prosto w czoło napastnika. Wyleciał tyłem głowy, ciągnąc za sobą strzępki czaszki, mózgu i smugę krwi. Ale to nie był koniec – najemnik dostrzegł na pokrytej kurzem drodze kolejne sylwetki. Błysnął ogień wylotowy karabinów.

Odpowiedział ogniem, ale kule wpadły do środka wozu – poczuł, jak jedna z nich rozrywa fotel tuż obok niego, druga trzasnęła go w pierś. Stracił oddech.

Ręka z bronią osłabła, przed oczami zaczęły mu tańczyć mroczki, ale wciąż był w grze – posłał w kierunku atakujących kolejne pociski. Kogoś chyba trafił – ciało jakby zostało ścięte, wpadło w przydrożny rów.

Szyba za nim pękła. Karabinowe kule trafiły go w plecy.

Rzuciło nim naprzód, między siedzenia. P320 wyleciał mu z dłoni, a on sam próbował coś dostrzec przez pył, ale nie mógł. Nie mógł się ruszyć.

Komendy po arabsku, głośno i blisko.

Ktoś znowu sięgnął do wozu, tak że Bremer widział go teraz dość dokładnie. Na głowie chusta, oblicze zasłonięte arafatką, skóra wokół oczu mocno opalona.

Paleczny coś mówił po angielsku, tłumaczył, że jest dziennikarzem. Człowiek w arafatce zignorował jego słowa, wyciągnął dłoń i szarpnął go za koszulę. Wtedy Bremer na włochatym przedramieniu agresora dostrzegł ciemne linie. Tatuaż! Tworzył jakiś napis, ale widoczne były tylko litery US i V.

Palecznego wywleczono. Nie stawiał oporu, tylko tłumaczył – po angielsku i arabsku – że obejmuje go ochrona międzynarodowa.

Atakujących to nie obchodziło.

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



PLANY, KTÓRE DOJRZEWAJĄ PRZES DEKADY TAJEMNICE, ZA KTÓRE WCIAŻ SIĘ ZABIJA

W zamachu w Syrii ginie legendarny korespondent wojenny Radosław „Radek” Paleczny. Ocalał tylko jeden człowiek – Wojciech Bremer, były operator Formozy, dziś najemnik pracujący dla prywatnej firmy wojskowej. Kilka tygodni wcześniej w Brukseli życie odbiera sobie były komandos i przyjaciel Bremera.

Laura Paleczny, eurodeputowana i córka zamordowanego reportera, nie zamierza pogodzić się z oficjalną wersją wydarzeń. Razem z Bremerem trafia na ślad operacji, której początki sięgają wielu lat wstecz. Im bliżej prawdy, tym wyraźniej widać, że przeciwnicy nie kryją się na froncie, lecz w gabinetach, służbach specjalnych i cieniu wielkiej polityki.



bukowylas.pl

Cena: 54,90 zł